



HURTOWNIA POMP I ARMATUR

Wywiad ukazał się dzięki finansowej pomocy firmy ANA – „Hurtownia Pomp i Armatur”, Szczecin-Wielgowo, ul. Bryczkowskiego 1a oraz sklep przy ul. Obrońców Stalingradu 5 (naprzeciw „Pleciugi”).

Z JOANNĄ SZCZEPKOWSKĄ
rozmawia ROBERT CIEŚLAK

Sztuka czekania

- Jest Pani aktorką w drugim pokoleniu. Czy to pomaga czy przeszkadza w karierze zawodowej?

- Jeżeli ma to jakieś znaczenie, to tylko na początku. Potem nie jest to ani kredyt, ani obciążenie. Liczy się tylko to, co się samemu zrobiło. Chcę jednak obalić mit, że aktorskim dzieciom jest łatwiej zdawać do szkoły teatralnej. Odwrotnie. Ponieważ życie aktora nie wykorzystanego w teatrze jest czymś strasznym, dlatego fakt obłania syna lub córki kolegi na egzaminie należy naprawdę rozumieć jako przysługę. Mój ojciec - teraz już to wiem - biegał wśród członków komisji, błagał, żeby mnie nie przyjęli. Chciał mnie uchronić przed tym zawodem, dlatego że jestem kobietą. Sądził, że nie będę miała domu, dzieci. Pewnym ułatwieniem jest to, że od dzieciństwa zna się środowisko. U samego startu - zauważali to moi koledzy w szkole teatralnej - lepiej orientowałam się w konwencjach teatralnych i literaturze dramatycznej. Po prostu chodziłam do teatru od dziecka. Lepiej obeznane z rzemiosłem są chyba wszystkie dzieci, które wybierają zawód rodziców.

- Aktorska rodzina dała Pani możliwość zetknięcia się z atmosferą życia teatralnego końca lat sześćdziesiątych. Czy różniła się ona od atmosfery lat dzisiejszych?

- Teatr funkcjonował wówczas niemal jak „drugi Kościół”. Bywał rzeczywistością prawdziwą sztuką. Ze względu na okoliczności polityczne miał również szczególną temperaturę. Nie twierdzą jednak, że teatr był siedliskiem aluzji. Idąc do teatru wchodziło się w ogóle w inny wymiar, którego brakowało w potocznej, niewyobraźalnej i obecnie szybko zapomnianej szarości i przeciętności. Przed nią właśnie uciekało się do teatru. Chodziło się na sztuki zachodnie, po to by chociaż na dwie godziny „wyjechać za granicę”.

- Kilka lat temu powiedziała Pani, że aktorzy niechętnie odnajdują swoje nazwiska na liście obsadowej. Gra w teatrze ogranicza bowiem możliwość ich pracy w filmie, telewizji, radiu. Jak ta sytuacja wygląda dziś?

- Nie wiem, ponieważ od ponad roku mnie tam nie ma. Wycofałam się z teatru nie dlatego, że nie chcę w nim grać. Chcę poszukać własnego sposobu wypowiedzenia się. Mam swoją drugą pasję. Piszę. Powstanie z tego rodzaj wieczoru. Można powiedzieć, że będzie to mój kabaret literacki. Muzykę pisać będą m.in. Stokłosa, Satanowski, Tur-
nau, Małecki.

- Jednak teatru nie opuściła Pani całkowicie.

- Mam roczny kontrakt w teatrze w Genewie, gdzie gram po francusku. To jest moja przygoda. Jutro właśnie lecę

na trzy dni do Szwajcarii. Potem wracam do Polski na zdjęcia. Później mam koncert, jadę do Szczecina - rzeczywiście nie ma to końca.

- Rozmawiamy w drodze na plan filmowy. Jest kilka minut po szóstej rano. Wiem, że wczoraj zdjęcia skończyły się późną nocą. Skąd czerpie Pani energię, by pracować z takim wysiłkiem?

- Jeżeli robi się to, co się lubi, to człowiek ma nieprawdopodobny zasób sił. Męczy tak naprawdę tylko to, czego nie ma sensu robić, co jest nudne, co jest monotonne. Mnie męczy jedynie brak harmonii, brak dnia bez biegania, który mogłabym poświęcić moim dzieciom. Na razie obie moje córki akceptują tę sytuację. Hania ma jedenaście lat. Marysia już prawie czternaście. Jest wyższa ode mnie. Kiedy wyjeżdżałam do Genewy żegnałam się jeszcze pochylając głowę, całując ją w czoło. Kiedy wracałam i witałam się - musiałam stanąć na palcach.

- Jeśli córki zechcą zdawać do szkoły teatralnej, Pani, podobnie jak tata, będzie prosić komisję o obłanie kandydatek?

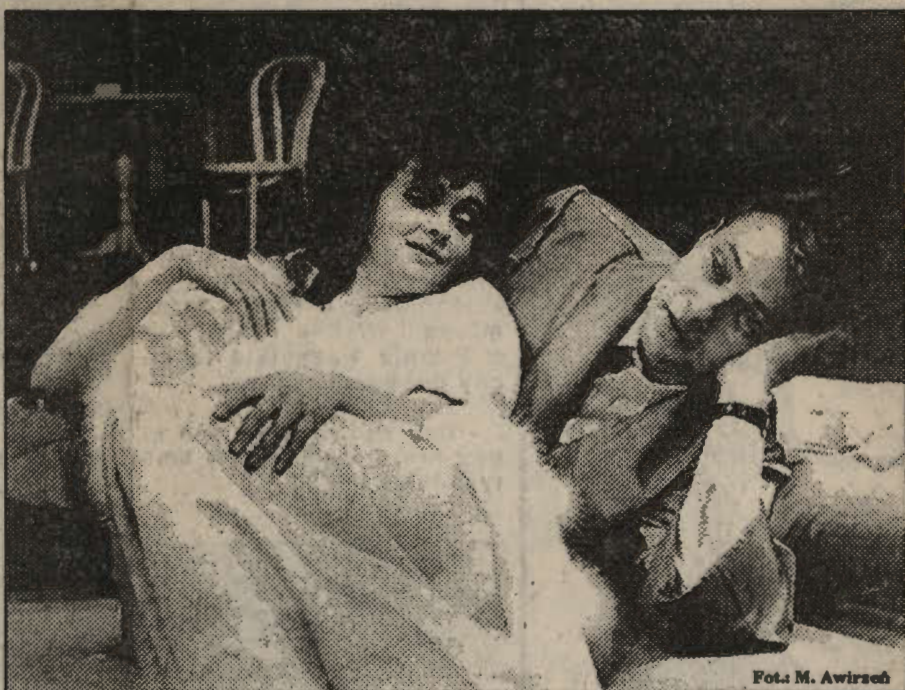
- Nie. Za parę lat młodzi ludzie będą sobie doskonale zdawać sprawę, że ten zawód jest niebezpieczny i poza nim trzeba się znać jeszcze na czymś. Teraz moja sprawa jest pilnować, aby one znały języki, aby wiedziały, że życie nie ogranicza się tylko do jednego świata. Kiedy były ze mną w Genewie poznały na przykład ludzi z ONZ i bardzo się zainteresowały pracą tam. To mnie cieszy, bo nie chcę zamknąć im świata wyłącznie do teatru, bo to się tak źle kończy jak u mnie.

- Pani debiutem filmowym była rola w „Con amore”. Potem przyszły kolejne interesujące role - w „Cudzoziemce”, „Jeziorze Bodeńskim”, „Kronice wypadków miłosnych”. Którą z filmowych kreacji ceni Pani sobie najwyżej?

- Lubię swoją rolę w „Kronice wypadków miłosnych”. Uważam, że twarz, która jest tam pokazana - nie chodzi jedynie o urodę oczywiście - to jest moja twarz. Zostało sfotografowane to, co chciałam zagrać. Lubię jeszcze „Dwa księżycy”. I to wszystko.

- Które z ról teatralnych były dotychczas najważniejsze?

- Dwie i obie nazywały się podobnie. Jedną to była „Lekcja” Ionesco. Drugą - „Lekcja polskiego” Anny Bojarskiej.



Joanna Szczepkowska z Arturem Zmijewskim w scenie z „Życia prywatnego” Noela Cowarda.

- W „Lekeji” widzieliśmy Panią kilka lat temu w Szczecinie. Przedstawienie przyjęło wówczas niezwykle gorąco. Teraz zobaczymy Panią w „Życiu prywatnym” Noela Cowarda.

- To jest zupełnie coś innego. Chciałabym uprzedzić, że ta sztuka to jest jedynie puch labędzi, w którym poza tym, że jest bogato i luksusowo, nie ma naprawdę wiele. Jest to rzecz ku zabawie i odpoczynkowi. Był to mój pierwszy kontakt z farsą, gatunkiem trudnym, który jedynie widzowi powinien wydawać się łatwym.

- Jaką rolę gra Pani w filmie, na którego plan jedziemy?

- Jestem kobietą ze wspomnień bohatera, jego żoną, która popełniła samobójstwo, choć nie do końca wiadomo, czy była ofiarą, czy katem. Film nosi na razie tytuł „Horror w wesołych kąpieliskach”. Reżyseruje Janusz Barański.

- Była Pani pierwszą osobą w Polsce, która publicznie ogłosiła koniec komunizmu.

- Po wyborach 4 czerwca stała się rzecz oczywista. Czulałam, że to jest moment, w którym - mimo zwolnienia pewnych tam - nie zdajemy sobie sprawy z tego, że faktycznie nie ma już zagrożenia.

- Jakie były skutki Pani wystąpienia przed kamerami „Dziennika telewizyjnego”?

- Na początku były to rzeczy bardzo miłe. Zdawałam sobie sprawę, że podkładam pewną bombę, ale nie wiedziałam, że taką radość sprawię ludziom starszym. To z ich strony najczęściej spotykałam się z dowodami sympatii.

Jeśli dziś jestem z tego wystąpienia zadowolona, to właśnie ze względu na pokolenie, które naprawdę nie spodziewało się, że usłyszy to jeszcze kiedykolwiek. Potem zaczęły się komentarze w różnych pismach - rozgorzała dyskusja na temat pojemności mojego mózgu. To jest jednak mniej istotne. Wszystkim, którzy mnie dziś gorzko pytają - no i co teraz? - odpowiadam zawsze, że gdyby się komunizm wówczas nie skończył, to by mi teraz nie mogli takiego pytania zadać.

- Czy jest coś, czego się Pani boi w swoim zawodzie?

- Ograniczenia się do niego samego. Boję się pewnego lenistwa duchowego, które jest w tym zawodzie możliwe. Jest to zawód wielkich przygód, które jednocześnie ograniczają. Można się zamknąć w tym świecie. W takiej właśnie podróży w deszcz, jak dzisiaj, w czasie której nie da się nic czytać. Boję się, żeby mój czas nie ograniczył się tylko do tego. Granica w tym zawodzie jest bardzo mało. W ogóle aktorstwo to sztuka czekania - na planie filmowym, za kulisałmi teatru... Będziemy tu siedzieć około 10 godzin, z czego samej pracy przed kamerą, koncentracji będzie kilkanaście minut.

- Efekt obserwowany potem na ekranie będzie jeszcze krótszy.

- Dokładnie tak. Kiedyś pracowałam nad rolą Rabinka, o której chyba nawet nikt nie wie, w „Dolinie Issy” w reżyserii Konwickiego. Dwa miesiące uczyłam się modlitwy po hebrajsku, aby naprawdę dobrze wykonać ją na ekranie. Tymczasem w filmie jestem chyba tylko przez około 30 sekund.

- Dziękuję za rozmowę.